

c.d.

Obrazy z Kolegiaty Św. Wawrzyńca w Żółtkwi

<< 27 | Ł. Kurpisz

ponad godzinną rozmowę z jego dyrektorem. Prof. Seipel okazał się bardzo zainteresowany losem obrazów, również w kontekście ewentualnego ich wykorzystania przy organizacji jubileuszowych wystaw. Kontakt tym cenniejszy, że w rozmowach na Ukrainie zauważyłem większą otwartość, gdy przywoływałem stare, chciałoby się powiedzieć „galicyjskie” relacje. Dla zjednania sobie życzliwości strony ukraińskiej zorganizowałem 4-dniową wizytę w Warszawie p. Razinkowej. Ułatwiłem jej kontakty i spotkania w Akademii i na Zamku Królewskim. Omówiłem plany ewentualnego zaangażowania konserwatorów ukraińskich przy konserwacji dzieł. Przy kolejnej okazji spotkałem się na Wawelu z Dyr. Ostrowskim. Jego też informowałem o stanie spraw i planowanych dalszych działaniach.

Udział Polaków w gremiach kierowniczych wspólnoty europejskiej skłonił mnie do uruchomienia kolejnych osób. Przy okazji pobytu w Brukseli uzyskałem możliwość spotkania z prof. W. Roszkowskim – europosełem i członkiem komisji kultury Parlamentu. Podczas wizyty towarzyszył mi prezes Fundacji Polonia International - znany działacz polonijny p. Andrzej Pakulski. Wyraził wielkie zainteresowanie losem płócien z Żółtkwi. Dotarłem nawet do płk. Karolkiewicza, prezesa Światowego Związku Żołnierzy AK, kiedyś dyrektora zakładów INCO, instytucji zasłużonej we wczesnej fazie ratowania Kolegiaty. Opowiedział o wizycie w Żółtkwi Zbigniewa Brzezińskiego i wielkim wrażeniu, jaki wywarła na nim świątynia i jej ówczesny wygląd.

Stan spraw, jaki wyłaniał się ze spotkań, rozmów i wymienianej korespondencji nie wyglądał od początku najlepiej. Okazało się, bowiem, że z jednej strony sprawa Żółtkwi jest znana w zasadzie wszędzie tam, gdzie ta wiedza powinna się znaleźć. Była nawet powołana specjalna komisja w Min. Kultury. Tyle, że nigdy nie podjęła jakichkolwiek prac. Z drugiej strony, nie przekładało się to na żadne konkretne działania. Instytucje państwowe, w pierwszym rzędzie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego działały powoli, rzekłoby się majestatycznie. Obrazy z Kolegiaty i ich konserwacja na pewno nie były postrzegane, jako temat priorytetowy, a wszechobecny brak środków finansowych dodatkowo usprawiedliwiał stan zaniechania. Do tego dodać trzeba delikatną materię lokalizacji malowideł na Ukrainie oraz oczekiwania Kościoła,

że obrazy powinny powrócić na swoje pierwotne miejsce, czyli do Kolegiaty – warunek bardzo trudny dla strony ukraińskiej kurczowo trzymającej obrazy.

Dla człowieka mojego pokroju, z jednej strony wyposażonego w wystarczającą wrażliwość, by rozpoznać wagę problemu, a z drugiej przyzwyczajonego do uporczywych starań i poszukiwania za wszelką cenę konstruktywnych rozwiązań wraz z nietypowymi (poza budżetowymi) źródłami ich finansowania sprawa była oczywista. Trzeba przezwyciężyć inercję, upowszechnić wiedzę o obrazach, cierpliwie nakłaniać stronę ukraińską do ustępstw, mobilizować potencjalnych zainteresowanych i szukać pieniędzy. Uważałem, że finansowe instrumenty unijne, wtedy jeszcze mniej rozpoznane, współpraca międzynarodowa (Ukraina-Polska-Austria), a także pozyskiwanie środków w środowiskach biznesowych, to właściwe panaceum na kłopoty materialne. Miałem dość wiedzy i kontaktów, aby nad tym pracować i robiłem to z pełnym oddaniem sprawie.

Nie udało mi się jednak uzyskać jakiegokolwiek wsparcia formalnego. A utrzymywanie mojej aktywności i zaangażowania niejako „prywatnego” coraz częściej prowadziło do pytań: Kto to jest ten p. Kurpisz? Jaki ma w swych działaniach interes? Z bólem serca uznałem, że 1,5 roku działań wystarczy i pora się wycofać. No i tak się stało.

Ale temat wywołany i z energią stawiany na porządku dnia, wszystkie spotkania i dyskusje, a zapewne i budzący kontrowersje „tajemniczy organizator” przyniosły skutek. Dziś, po 5 latach od pamiętnej rozmowy z ks. Proboszczem, proces ratowania obrazów z Kolegiaty biegnie pełną parą. Dwa najbardziej zniszczone płótna są w Polsce. Paweł Szadley opuścił Zamek i w swojej pracowni konserwatorskiej robi cuda, aby przywrócić malowidłom ich dawną świetność. Nadal piętroszą się przeszkody. Ciągłe brakuje środków finansowych, tym razem również na ogromne ramy wymagające odbudowy z pozostawionych szczątków, ale rychło patrzeć płótna będą odrestaurowane. Niewyobrażalne okazało się możliwe. A obietnica sprzed lat, dana proboszczowi w Żółtkwi „stanie się ciałem” ku pamięci naszych przodków i ku chwale Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

EPILOG:

W dniu 5 października 2011, w salach Muzeum, na IIp. Teatru Wielkiego w Warszawie wystawiono odnowione płótna. Było uroczyste, był p. Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, był Ambasador Ukrainy i liczni zaproszeni goście. Postacią centralną był Paweł Szadley – realizator żmudnego procesu konserwacji. Obrazy prezentowały się wspaniale. Piękne ramy dodawały splendoru doskonale prezentującym się płótnom, a król Sobieski dzielnie nastawał na tureckich przeciwników. Udało się....

Zapiski...

<< 21 | A. Lizakowski

są wyjątkowo uprzejmi, mili i grzeczni, jakby inni Polacy byli w obozie a inni tutaj. Razem z nami jest para Słowaków, która mieszka w hotelu już od dłuższego czasu. Na naszej pierwszej naradzie organizacyjnej z właścicielami hotelu, Reprezentantem nas wszystkich został Słowak. Nikt z Polaków jakoś nie garnął się na urząd „hotelowca”. Poza tym okazało się, że znajomość niemieckiego posiadli tylko nieliczni z nas, pomimo tego, że Niemcy to nasz sąsiad i wróg numer jeden od tysiąca lat.

13 listopada 1981

Powoli wracam do siebie, choć nie mogę zebrać myśli. W jakiś sposób muszę wszystko poukładać, a następnie poddać analizie. Po dziesięciu dniach życia na walizce i odżywiania się co drugi dzień wracam do siebie, ale nie do tego Adama z Pieszyca, który kilkanaście dni temu wyjechał, tylko do tego, co jest w Austrii. Po wykąpaniu się i wyspaniu pod białą pościelą czynam się czuć tak, jakby wszystko to, co dotychczas mnie spotkało, było tylko snem. Przeszedłem przez wielką huśtawkę emocjonalną, byłem się z własnymi myślami. Gnębiłem się pytaniami, na które nie miałem odpowiedzi. Teraz potrzebuję wewnętrznej akceptacji samego siebie. Jestem w środku rozbitny i zdeзорowany. Zupełnie nie potrafię zapanować nad... Właśnie, nad czym...?

14 listopada 1981

Mała miejscowość, w której mieszkam nazywa się Podersdorf. Właścicielem hotelu z dużą restauracją, położonego w bardzo atrakcyjnym miejscu, jest były żołnierz niemieckiego Wehrmachtu, który wrócił pieszo do Austrii spod Stalingradu. Skąd o tym wiem, od Słowaka, który, jak się okazało, jest nie tylko azylantem politycznym, najstarszym mieszkańcem hotelu, ale także zawodowym muzykiem i w sezonie gra w restauracji umilając gościom czas. Nie wraca do Bratysławy, która leży od tej miejscowości niecałe dwie godziny drogi autem, bo woli tutaj zarabiać szylniej. Poza tym, jak większość uciekinierów - emigrantów, po raz drugi założył rodzinę. To, co zostało z drugiej strony granicy jest jakby za siódmą górę, rzeką, lasem.

Region, w którym znajduje się Podersdorf, nazywa się Burganland. Jest to kraina winogron, a miejscowość znajduje się nad jeziorem Neusiedler przez które przebiega granica Austrii z Węgrami. Do jeziora, w linii prostej z naszego hotelu, jest nie więcej niż 100 metrów, a takich hoteli, w których mieszkają Polacy, jest cztery. Stanowimy obecnie pokątną część wszystkich mieszkańców Podersdorfu.

16 listopada 1981

Wciąż jestem na etapie poznawania mieszkańców hotelu i miejscowości

Podersdorf, która leży na terenie płaskim jak stolnica, wśród pól winogronowych. Hotel jest praktycznie reprezentowany przez wszystkie regiony Polski, brakuje tylko chyba górali. Są ludzie z Gdańska i z Krakowa, są mieszkańcy podwrocławskich miejscowości i ludzie spod Kielc i Poznania. Słowem, mogę powiedzieć, że cała Polska znalazła się w tym jednym hotelu. Czym ci wszyscy ludzie kierowali się wyjeżdżając z ojczyzny jeszcze nie wiem, ale zaglądając w głąb swojej duszy powinienem znaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytania. Myślę, że nie wszyscy wyjechali po pieniądze na meble jak ja, po mieszkania czy samochody. Jeśli nie, to po co wyjeżdżali?

Miejscowość Podersdorf jest wielkości Pieszyca, z kilkoma ulicami, kilkoma sklepami, ale o takim zaopatrzeniu, że ho ho; kilkoma zajazdami turystycznymi, bankiem, jakimiś biurami, kościołem i dużym cmentarzem. Najwięcej jest restauracji i zajazdów turystycznych, piwnic przerobionych na winiarnie. Główna ulica biegnie wzdłuż jeziora, kilka innych, dużych, przecina ją prostopadle. Na ulicach prostopadłych znajdują się wszystkie najważniejsze sklepy miasteczka. Idąc spacerkiem, można obejść całe miasteczko w godzinę. Jak do tej pory ciekawych obiektów czy zabytków nie znalazłem, ale znalazłem kilka drobnych monet austriackich.



Jeziro Neusiedler przy miejscowości Podersdorf

Mam poza sobą kilka spacerów nad jeziorem, które pociąga mnie i fascynuje swą wielkością i jasnobarzowym kolorem wody. Teren pomiędzy drogą a brzegiem jeziora jest zalesiony, przeważnie sosnami. Znajduje się tu wiele domków wczasowych, budowanych na wszystkie możliwe sposoby i style architektoniczne. Całość ogrodzona jest siatką. Na pierwszy rzut oka widać zaradność i planowość działania gospodarzy. Piszę o tym bo jeszcze nam w pamięci nasze polskie gospodarskie podwórka. Tutaj wszystko jest uporządkowane i zadbane, zakonserwowane na zimę, łodzie nakryte jakimiś plandekami. Nie znalazłem niczego, co nie byłoby na swoim miejscu. Byłem kilka razy na cmentarzu. Spacerując pomiędzy grobami i grobowcami, porównywałem je do naszych – pieszyckich grobowców niemieckich bardzo podobnych do tych tutaj. Podziwiałem płyty nagrobne i kształt liter, kształty dużych figur nagrobnych, postacie Jezusa i Matki Boskiej lub figury aniołów. Odczytywałem z tablic nagrobnych nazwiska zmarłych, obliczałem w pamięci lata ich życia na tym padole, medytowałem nad kruchością losu ludzkiego. I znowu wracałem nad jezioro, aby tam popatrzeć poza horyzont, aby zobaczyć... Amerykę.

c.d.n.